

## Wincenty Natkański (1899 - 1992)



### Nota biograficzna

Wincenty Natkański urodził się w 1899 w Jaksonku, nieopodal Piotrkowa Trybunalskiego. Był ułanem w ochotniczym szwadronie łękauskim. Jako kwatermistrz drugiego szwadronu 6 Pułku Ułanów Kaniowskich brał udział w walce z Bolszewikami w Bitwie Zastawskiej w 1920 roku. Naczelnym lekarzem w kwatermistrzostwie 60 Pułku Piechoty Wielkopolskiej.

Kochając morze, zaczął przed drugą wojną światową pływać jako lekarz okrętowy. Funkcję tę pełnił na wielu polskich statkach pasażerskich, m.in. na S/S Kościuszko, S/S Pułaski, M/S Piłsudski i M/S Batory. W 1945 roku, jako lekarz, nadzorował z ramienia władz polskich przejmowanie Gdańskiej Akademii Medycznej z rąk sowietów. Po drugiej wojnie światowej, pływając na M/S Batory, został oskarżony przez Polskę Ludową o sabotaż, albowiem podczas rejsu do USA kazał wyrzucić nie nadającą się do spożycia żywność.

W związku z tym zszedł na ląd w Nowym Jorku, gdzie dostał obywatelstwo USA. Pozostał w Ameryce przez wiele lat, pracując jako lekarz w stanie Nowy Jork, a następnie w Teksasie. Będąc na emeryturze, w latach 70 i 80 zaczął odwiedzać Polskę, aż w końcu przeniósł się na stałe do Warszawy, gdzie w roku 1992 zmarł w wieku 93 lat.

Był naocznym świadkiem wydarzeń prawie całego stulecia. Swoje barwne życie opisał w pamiętniku "Moje Czasy", z którego pochodzą publikowane po raz pierwszy fragmenty.

Wincenty Natkański

---

M/s „Piłsudski”

(fragment pamiętników autora p.t. MOJE CZASY)





m/s "Piłsudski" i m/s "Batory", fotografia z końca lat 30tych

## m/s „Piłsudski”

M/s „Piłsudski” i m/s „Batory” były zaprojektowane jako statki bliźniacze, jednak po wykończeniu nie były identyczne. „Piłsudski”, ukończony o rok wcześniej, ujawnił w czasie pierwszych rejsów szereg błędów konstrukcyjnych, których uniknięto w trakcie wykańczania „Batorego”. Dzięki temu ten ostatni był lepiej przystosowany do żeglugi po burzliwym Morzu Północnym i Atlantyku, dlatego też właśnie on skierowany został do obsługi linii Gdynia – Nowy Jork.

Wprawdzie również i „Piłsudski” odbywał co roku po kilka rejsów z Gdyni do Nowego Jorku, lecz większość jego podróży stanowiły rejsy wycieczkowe.

Bazą m/s „Piłsudskiego” latem była Gdynia, skąd pływał do portów skandynawskich i zachodnioeuropejskich. Zimą zaś wypływał z Nowego Jorku do wysp Morza Karaibskiego oraz Ameryki Środkowej i Południowej.

Pasażerowie wycieczek amerykańskich byli na ogół ludźmi zwykłymi, mówiącymi do siebie przeważnie po imieniu. Od czasu do czasu tylko słyszało się jakieś „mister”, a bardzo rzadko „dok”, czyli doktor. Natomiast wśród pasażerów polskich mało kto był bez tytułu.

Na każdym kroku słyszało się więc „panie doktorze”, „naczelniku”, „kierowniku”, „inżynierze” itp. Odnosiło się wrażenie, że wręcz nie wypada do kogoś powiedzieć „panie” bez podania tytułu.

Pewien poseł powiedział kiedyś do mnie:

„Zazdroszczę panu, że może pan pływać na Panu Marszałku Piłsudskim”.

Osoby utytułowane bardzo sobie swoje tytuły cenily i upominały się o nie, gdy się te tytuły pomijało. Mnie dwie osoby zwróciły uwagę, że im się tytuł należy - i ciekawe, że obie w ten sam sposób.

„Panie doktorze, w których godzinach bywa pan w izbie przyjęć?”

„W izbie przyjęć bywam w takich to a takich godzinach, ale ponieważ jestem na statku stale, więc jeżeli panu coś dolega, proszę się do mnie zwracać o każdej porze”.

„Ależ panie doktorze. Proszę nie robić dla mnie żadnego wyjątku. Wprawdzie jestem starostą, ale proszę mnie traktować jak każdego innego pasażera, bardzo proszę”.

Drugim pasażerem, który też nie chciał robienia w stosunku do własnej osoby wyjątków, był pewien senator.

Panie miały bardziej urozmaicone sposoby zwracania uwagi na ważność swojej osoby. Jedna na przykład, zaraz po wejściu na statek i po zapoznaniu się ze swoją kabiną, ruszyła w stronę biura intendenta krzycząc na cały głos:

„Gdzie jest intendent? Ja nie pozwolę kpić z siebie! Pan minister obiecał mi kabinę z widokiem na morze, a oni mi dali z widokiem na jakieś budy!”

„To ja jestem – odpowiedział intendent Jasiński – czym mogę pani służyć?”

„Pan minister obiecał mi kabinę z widokiem na morze!”

„A który numer kabiny pani otrzymała?”

Podawała numer kabiny.

„Tak, to jest kabina zewnętrzna”.

„Co z tego, że zewnętrzna, kiedy jest z widokiem na jakieś budy, a pan minister zapewniał mnie, że będzie widok na morze!”

„Tak się też stanie, gdy tylko wypłyniemy na morze”.

„Ach, tak?” – powiedziała – i po sakramentalnym „przepraszam” odeszła już cicho.

Nie wypadło to mądrze, ale za to ileż to osób usłyszało, jaka ona jest ustosunkowana.

Inna pani opalała się zbyt intensywnie i przypiekła sobie skórę. Dałem jej jakiś krem i poradziłem, by przez kilka dni unikała słońca.

„Ależ panie doktorze, ja przyjechałam z ministerstwa, więc muszę się opalać!”

Jeszcze inna, tym razem dziewczę, skarżyła się, że nie może chadzać na bale w Piotrkowie Trybunalskim, gdyż chodzą tam na nie jakieś kupcowny, czy adwokatówny.

Minister B. na jednej z wycieczek narzekał, że załoga traktuje go jak zwykłego pasażera, a on bądź co bądź jest ministrem.

Ponieważ narzekanie nie dało pożądanego rezultatu, minister udał się do starszego ochmistrza Cheromińskiego i powiedział, że sobie nie życzy, aby ktokolwiek zatrzymywał się w korytarzu w pobliżu jego kabiny. Ochmistrz podał do wiadomości wszystkich członków załogi hotelowej, że w kabinie tej a tej - mieszka minister B i że nie życzy on sobie, aby ktokolwiek zatrzymywał się na korytarzu w pobliżu jego kabiny. Jeżeli więc zauważą, że ktoś się tam zatrzymuje, mają go prosić uprzejmie, aby przeszedł gdzieś dalej.

Wszyscy członkowie załogi hotelowej polecenie to otrzymali, lecz nie wszyscy pana ministra znali.

Któregoś dnia pan minister spotkał w pobliżu swej kabiny znajomą panią i wdał się z nią w rozmowę. Zauważył to jakiś steward, podszedł do nich i poprosił, aby przeszli trochę dalej, gdyż w tej kabinie mieszka jakiś palant z ministerstwa, którego strach oblatuje, gdy zauważy, że ktoś się tutaj zatrzymał.

Minister zażądał od ochmistrza surowego ukarania stewarda. Niestety, nie potrafił wskazać, który z nich był winowajcą.

Na statku wszystko roznosi się szybko, więc i o tym wkrótce cały statek wiedział. Stewardowi uszło to bezkarnie, a pan minister do końca podróży znany był jako „palant z ministerstwa”.

W kilka miesięcy później spotkałem w Warszawie znajomego, który nie brał udziału w opisywanej wycieczce, ale wiedział, że „palant z ministerstwa” i minister B. to jedna i ta sama osoba.

W czasie jednej podróży dobrze już starsza pasażerka przedstawiła mi się jako matka mojego kolegi – Kazika P. Kazik był w moim wieku, w gimnazjum byliśmy w tej samej klasie, a w wojsku w tym samym szwadronie. Matki jego jednak nigdy nie widziałem.

Teraz pani P. mówiła:

„Znałam pana doktorze, jak pan doktor był jeszcze taki maleńki” – i rozłożyła ręce na odległość około pół metra. „Jak rodzice pańscy przyjeżdżali do Sulejowa, to zostawiali pana doktora u mnie, a jak się pan doktor darł, to przystawiałam pana doktora do piersi i od razu pan doktor się uspokajał”.

Na ogół wycieczki europejskie były bardzo spokojne, na statku nie było poważniejszych zachorowań ani wypadków, nawet choroba morska rzadko komu dokuczała.

Jedyny poważniejszy wypadek zdarzył się na lądzie, gdy w ogrodzie zoologicznym jeden z pasażerów chciał pogłaskać krokodyla i ten zmiażdżył mu dłoń.

Podczas wycieczek amerykańskich niektórzy członkowie załogi przemycali z tropików do Nowego Jorku papugi i małpki, których niekontrolowany przewóz do Stanów był zabroniony.

Parę razy tak zwana „czarna brygada” szukająca na statku kontrabandy znajdowała te stworzenia, ukryte w takich miejscach, że nie można było ustalić, kto je tam ulokował. Nie wiadomo też było, kogo za to ukarać. Wreszcie noga powinęła się asystentowi intendenta. Pokazał on swoją małpkę jednej z pasażerek. Pasażerka chciała ją kupić, lecz asystent odradził jej to twierdząc, że nie otrzyma zezwolenia na zabranie małpki na ląd.

„A jeżeli otrzymam?” – zapytała.

„To wtedy sprzedam”.

Pasażerka telegraficznie poprosiła swego narzeczonego o wyrobienie takiego dokumentu, o czym asystent nie wiedział. Po przyjeździe do Nowego Jorku, gdy jeszcze nie wszyscy pasażerowie zdążyli opuścić statek, zjawił się narzeczony z pracownikiem kwarantanny i pasażerka poprosiła o małpkę. Asystent zaczął się wypierać, że żadnej małpki nie miał i nikomu nie pokazywał. Pasażerka obraziła się, że robi z niej wariatkę i uczyniło się zamieszanie. Wreszcie asystent małpkę przyniósł. Okazało się jednak, że jest to zupełnie inna małpka. Sprawa oparła się o kapitana. Ten kazał przynieść właściwą małpkę, ale to okazało się niemożliwe, bo zwierzątko było już na lądzie. Małpkę znaleziono na Long Island i zabrano na kwarantannę. W następną podróż asystent już nie pojechał.

Drugą ofiarą przepisów sanitarnych był wicedyrektor Linii Gdynia – Ameryka w Nowym Jorku, pan K., który wraz z żoną wybrał się na jedną z wycieczek.

W trakcie postoju w Trynidadzie stwierdziłem u niego dezynterię amebową i poradziłem mu, aby powrócił do Nowego Jorku samolotem. W przeciwnym razie będę go musiał izolować w szpitalu zakaźnym i w każdym porcie meldować, że mam na statku chorobę zakaźną. A portów mieliśmy jeszcze przed sobą kilka.

Pan K. oświadczył, że statku nie opuści, a na izolację się nie godzi. Kapitan zapytał mnie, czy nie można by było izolować pana K. w jego własnej kabynie? Odpowiedziałem, że zasadniczo można, ale pod warunkiem, że pan K. zgodzi się kabiny nie opuszczać i nikogo w niej nie przyjmować. Co zaś do jego żony, to trzeba ją będzie albo przenieść do innej kabiny, albo też pozostanie z mężem, ryzykując zarażenie się. W tym ostatnim przypadku również jej nie będzie wolno opuszczać pomieszczenia. Na taką izolację państwo K. zgodzili się.

Wieczorem, gdy byliśmy już w morzu, kapitan zakomunikował mi, że pani K. poszła na dancing. Powiedziałem, że w takim razie pana K. musimy izolować w szpitalu zakaźnym.

Poszliśmy z kapitanem do pana K., by go o tym poinformować. K. powiedział, że jego żona nie zastosowała się do naszej poprzedniej umowy, gdyż on sobie tę sprawę przeanalizował i doszedł do wniosku, że nie musi być izolowany.

Wtedy kapitan zapytał mnie, czy jestem pewien, że jest to dezynteria amebowa.

„Tak” – odpowiedziałem.

„Czy jest to choroba zakaźna?”

„Tak”.

„Czy pan dyrektor musi być izolowany?”

„Tak”

„W takim razie, dyrektorze, będzie pan izolowany”.

„Ja jestem wicedyrektorem Linii i ja się nie pozwolę izolować!”

„Nie, panie dyrektorze. Ja jestem kapitanem statku i czuję się w obowiązku poinformować pana, że przepisy sanitarne obowiązują wszystkich, nie wyłączając dyrektora Linii - i pan będzie izolowany! Jeżeli pan dyrektor nie przejdzie do szpitala dobrowolnie, wezwę sześciu marynarzy, którzy pana dyrektora przeniosą. Sądzę jednak, że pan dyrektor zmieni zdanie i zaoszczędzi nam widowiska”.

„Dobrze, pójdę, ale w Nowym Jorku porozmawiamy!”

„Bardzo chętnie” – odpowiedział kapitan.

Nie wiem, jaką rozmowę miał kapitan w dyrekcji. Mnie dyrektor Kutylowski powiedział, że gdybym był przymknął oko na dezynтеріę, prawdopodobnie nic złego by się nie stało. Ale o to, że oka nie przymknąłem, Linia nie może mieć do mnie pretensji.

Pana K. już w Linii nie widziałem.

W większości portów Morza Karaibskiego do zbliżających się statków wycieczkowych wypływają na spotkanie łódki z trzema, czterema chłopcami. W pobliżu portu statki płyną znacznie wolniej i łódki mogą im dorównać w szybkości. Gdy łódki znajdują się przy statku, pasażerowie zaczynają rzucać do wody drobne monety, a chłopcy skaczą i nurkują za nimi, czasami nawet dość głęboko.

Gdy statek zmniejszy szybkość jeszcze bardziej, pojawiają się przy nim łódki ze sprzedawcami tanich pamiątek, jak naszyjniki z różnego rodzaju nasion, kapelusze, koszyki itp. Handel odbywa się w ten sposób, że kupujący wybiera jakiś przedmiot, sprzedający podaje cenę i, jeżeli zostanie ona zaakceptowana, rzuca kupującemu koniec liny, do której przymocowany jest koszyczek z wybranym towarem. Kupujący wciąga koszyczek do góry, wyjmuje zakup, wkłada pieniądze i opuszcza na dół.

Dobijanie do nabrzeża, cumowanie statku, załatwianie formalności portowych zajmuje sporo czasu - i wtedy trwa handel. Jak tylko wszystkie formalności zostaną załatwione, można wyjść na ląd. Pasażerowie spieszą wtedy do wyjścia, handel się kończy i łódki odpływają.

Wycieczki zwykle rozpoczynały się w St. George na Bermudach, gdzie spędzaliśmy Święta Bożego Narodzenia. Atrakcją Bermudów jest łagodny klimat. Przyjeżdża tam sporo angielskich młodożenców, by spędzić miodowy miesiąc. Inne atrakcje – to podziemne grotty, plantacje lili, z których wyrabia się perfumy oraz zarośla oleandrowe, wydzielające w czasie kwitnienia odurzający zapach.

W owym czasie na Bermudach były tylko trzy samochody. Jeden – gubernatora, drugi – straży ogniowej i trzeci – pogotowia ratunkowego.

Poza tym była też kolej wąskotorowa, pojazdy konne i dużo rowerów. W czasie pierwszego postoju sześciu członków naszej załogi zeszło na ląd i, zobaczywszy stojące na specjalnych stojakach, nie pilnowane przez nikogo rowery, uznali, że mogą z nich skorzystać. Tak też zrobili. Nie wiem, jak długo ich wycieczka trwała, ale skończyła się na tym, że policja ich wytopiła i ulokowała w areszcie.

Sierżant policji, nie zastawszy kapitana, przyszedł do intendenta, aby zawiadomić go o aresztowaniu członków załogi i mającej się w dniu następnym odbyć rozprawie sądowej za kradzież rowerów. Ponieważ tego samego dnia odpływaliśmy, pozostawienie ich na wyspie wiązało się z wieloma kłopotami. Dlatego intendent chciał zapłacić karę, aby mogli być zwolnieni z aresztu przed odpłynięciem statku.

Sierżant obstawał jednak przy swoim, że za kradzież każdy musi być ukarany i od tej kary nie można się za żadną sumę wykupić. Byłem w tym czasie u intendenta, więc powiedziałem, że oni na pewno nie chcieli tych rowerów ukraść, tylko że zachowali się głupio, zaś najlepiej trafiającą do mózgowi głupców karą jest chłosta.

Sierżant roześmiał się.

„Ja też tak myślę – powiedział – ale chłosty u nas stosować nie można”. Powiedziałem, że szkoda, bo to zaoszczędziłoby nam wielu kłopotów. Sierżant pomyślał chwilę, po czym zapytał, o której godzinie statek odpływa.

Intendent podał godzinę.

„Pozostawienie ich na wyspie to duży kłopot dla nas i dla was” - powiedział sierżant. „W takim razie będzie miał pan swoich ludzi przed odpłynięciem statku”.

Istotnie, o oznaczonej godzinie sześciu aresztantów znalazło się przy trapie. Musieli poruszać się dość niezwykle, gdyż marynarz przy trapie zapytał:

„Co wy tak sztywno idziecie?”

„Cholera niech weźmie tutejsze rowery” – padła odpowiedź - „Pojeździliśmy na nich po wyspie i nabiliśmy sobie dupską”.

Z Bermudów zwykle płynęliśmy do Hawany, gdzie naszym Konsulem Honorowym był Miquelo Bolanios, tamtejszy adwokat, lat około trzydziestu, człowiek obdarzony poczuciem humoru, beztronski i bardzo towarzyski.

Gdy spotkaliśmy się po raz drugi, nazwał mnie „amigo” i zaproponował, byśmy mówili sobie po imieniu. Poznałem dość dużo jego znajomych, którzy zaraz po zapoznaniu oświadczyli, że skoro jestem przyjacielem Miquela, a on sam jest ich przyjacielem, to oni uważają mnie również za swojego przyjaciela.

Podawali przy tym swoje imiona, by mówić do nich po imieniu. Imiona podawane były jednak zawsze w formie skróconej albo zdrobniałej.



Forma zdrobniona od Miquelo brzmi Miqueliko, a skrócona – Liko, tak samo Adolfo to Fiko, Armindá – Dika, Ofelia – Lika a Wincenty – Tiko.

Byłem zaproszony do paru domów w Hawanie i w każdym pan domu deklamował: „Mój dom jest Twoim domem”. W jednym domu byłem nawet kilka razy, ale poznałem w nim tylko jeden pokój. Dom stał w otoczonym wysokim murem ogrodzie i był tak usytuowany, że do ogrodu nie można było z niego zajrzeć. Parę razy, oprócz domowników, spotkałem tam kilka zaprzyjaźnionych osób, ale ani razu nie dostrzegłem, by któraś z nich przeszła do innego pomieszczenia, albo żeby komuś zaproponowano obejrzenie ogrodu. Odniosłem więc wrażenie, że dla gości przeznaczona jest tam tylko jedno bardzo reprezentacyjne pomieszczenie, a dalsza część domu jest chroniona przed wtargnięciem intruzów. „Mój dom jest twoim domem” jest tylko formułą grzecznościową.

Z konsulem zwykle spotykałem się poza konsulatem, ale raz prosił mnie, bym przyszedł do konsulatu, gdyż musi mi coś pokazać. Rzeczą, którą miałem zobaczyć była podarowana mu przez władze polskie armatka, dość ciężka, duża, cała z mosiądzu, podobna do haubicy austriackiej z czasów pierwszej wojny światowej. Można było z niej strzelać, ale on jeszcze nie strzelał, gdyż dostał ją dopiero kilka dni temu. Czekał też na mój przyjazd, abyśmy pierwszego strzelania próbowali razem. Otworzył zamek, nasypał miarkę czarnego mialkiego proszku, potem wlał miarkę bezbarwnego płynu, zamknął zamek, poczekał jakiś czas, potem skierował lufę w otwarte okno i pociągnął za spust. Rozległ się huk, że aż tynk posypał się ze ścian i sufitu. Tak go to rozbawiło, że strzelił jeszcze cztery razy.

Gdy po pewnym czasie wyszliśmy z biura konsulatu, na korytarzu stał oficer policji i kilku policjantów z gotowymi do strzału rewolwerami. Oficer podszedł do nas, zasalutował i zapytał, czy nie stało się nic złego.

„Nie, wszystko w porządku!”

„Słyszałem strzały!”

„Ach, to taki polski zwyczaj, że w każdym ich konsulacie jest armatka, aby salu-tem witać ważne osoby, które przyjadą z kraju. Ponieważ obecny tu senator przyjechał z Polski, należy mu się salut, więc go zgodnie z polskim zwyczajem przywitałem”.

„To w konsulacie jest armata?”

„Oczywiście!”

„Prawdziwa?”

„Tak, prawdziwa, tylko małego kalibru”.

Gdy wyszliśmy z domu, stwierdziliśmy, że jest cały otoczony przez policję.

Po Hawanie w planach rejsu następował zwykle Kingston na Jamajce. Leży on nad zatoką, która kiedyś podobno była łądem. Pewnego dnia łąd jednak się za-

padł i tak powstała zatoka. Dowodem na to, że miało to miejsce naprawdę jest fakt, że jeszcze do tej chwili w czasie sztormowej pogody słychać dźwięk dzwonu zanurzonego pod wodą kościoła.

W Kingstonie byłem kilka razy, lecz zawsze w czasie bezwietrznym, więc bicia dzwonu nie słyszałem. Raz spotkaliśmy tam stojący w zatoce statek towarowy z żółtą flagą, co oznaczało, że jest na nim choroba zakaźna. Od lekarza portowego dowiedziałem się, że była to dżuma.

Gdy powróciliśmy do Kingstonu po upływie około trzech tygodni, statek stał tam nadal. Jak mnie poinformował lekarz portowy, przez ten czas były na statku nowe zachorowania.

Położenie załogi tego statku było straszne, bo nie dość, że słońce praży, wilgoć powietrza duża, pokład rozpalony, kabiny duszne, klimatyzacji brak, to jeszcze nie wiadomo, jak wystrzegać się zakażonej pchły, która może ukąsić w każdej chwili. Preparat DDT w tym czasie nie był jeszcze znany, a inne środki były mało skuteczne.

Podczas jednego z pobytów w Kingstonie, tamtejszy agent okrętowy przyniósł strzelby i pieska i zaproponował mi, intendentowi Jasińskiemu, starszemu oficerowi Mieszkowskiemu i starszemu mechanikowi Milewskiemu, byśmy pojechali z nim na polowanie na krokodyle.

Starszy mechanik i starszy oficer powiedzieli, że im żyjące na Jamajce krokodyle nie przeszkadzają, więc i oni nie muszą ich niepokoić. Agent przyznał się, że i on nie jest wielkim zwolennikiem polowania, ale ponieważ w niektórych folderach jako jedną z atrakcji na Jamajce wymienia się polowanie na krokodyla, to myślał, że sprawi nam przyjemność, organizując tę atrakcję. Jednocześnie sam zorientuje się, gdzie się poluje i jakie są warunki polowania.

Jak poinformowano agenta okrętowego, miejsca, w których można polować znajdują się około 20 mil od Kingstonu, co nie jest zbyt daleko. Ja z intendentem powiedzieliśmy, że jeśli chce on polować, to my chętnie z nim pojedziemy, ale w roli kibiców, po prostu dlatego, żeby się przejechać i poznać tutejszy krajobraz.

Pojechaliśmy. Droga była gładka, raczej wąska, pełna zakrętów i pięknych widoków. Nie można było jechać szybko, upłynęło więc sporo czasu, nim pokonałliśmy te dwadzieścia kilka mil.

Zatrzymaliśmy się przy mostku nad przecinającym drogę niewielkim strumieniem. Agent wziął strzelbę i pieska i ruszył w dół strumieniem, my podążaliśmy w pewnej odległości za nim. Po przejściu około 200 – 300 metrów znaleźliśmy się nad rozległym rozlewiskiem, na którym tu i ówdzie sterczały niewielkie wysepki, porośnięte bujną roślinnością.

Wydawało nam się, że jest to bardzo dobre miejsce dla krokodyli. Zaczęliśmy obchodzić rozlewisko, gdy usłyszeliśmy szczekanie pieska i plusk wody. Byliśmy pewni, że to krokodyl. Podeszliśmy bliżej. Okazało się, że to trzech czarni chłopcy

w wieku 10 – 12 lat. Starali się koszykiem łowić ryby.

„Czy widzieliście krokodyle?” – zapytał agent.

„Co to są krokodyle?” – zapytał jeden z chłopców.

„To takie duże jaszczurki”.

„Może są to kajmany?”

„Tak, kajmany!”

„Nie, kajmanów nie widziałem, ale mój ojciec widział i mówił, że dawniej było ich tu dużo”.

„A wiesz, gdzie są teraz?”

Chłopiec podał nazwę jakiejś miejscowości, gdzie podobno jest ich bardzo dużo. Agent powiedział, że do tej miejscowości jest jakieś 15 mil, więc skoro już tutaj jesteśmy, to pojedziemy tam i przekonamy się, jak tam jest.

Przyjechaliśmy w pobliże wymienionej miejscowości i spotkaliśmy prowadzącego kozę chłopca. Agent zapytał go, czy widział kajmany.

„Co to jest kajman?”

„To taka duża jaszczurka”.

„Duża jaszczurka? To może aligator?”

„Tak, aligator”.

„Nie, aligatora nie widziałem.”

„A twój ojciec widział?”

„Taaak, ojciec widział i mówił, że dawniej było ich tutaj bardzo dużo”.

„A gdzie one są teraz?”

Chłopiec podał nazwę miejscowości, o której agent nigdy nie słyszał. Wobec tego zawróciliśmy.

Agentowi było przykro, że nie dowiedział się wcześniej, gdzie znajdują się krokodyle, ale obiecał, że w najbliższym czasie postara się wyjaśnić tę sprawę, by w przyszłości nie wprowadzać w błąd bardziej chętnych do polowań niż my.

Po przyjeździe do Nowego Jorku poszedłem do biblioteki i dowiedziałem się, że krokodyle były kiedyś na Jamajce, lecz wyginęły już dość dawno.

Również w Kingstonie, w czasie gdy pasażerowie zeszli na ląd, wyszedłem na pokład, by popatrzeć na port. Nagle usłyszałem:

„Mister, marzyłam o panu!”

Popatrzyłem w kierunku, z którego dochodził ten głos. Niedaleko statku stała łódka, a w niej siedziała stara Murzynka, trzymając w ręce jakiś koszyczek. Niewątpliwie patrzyła na mnie, kontynuując swoją przemowę:

„Wiele nocy i dni marzyłam o panu, że pan kiedyś przyjedzie i kupi ode mnie ten koszyczek za 25 centów!”

Co miałem robić? Kupiłem ten koszyczek.

Kingston i Hawana były w programie każdej wycieczki. Częściej niż inne porty odwiedzaliśmy też Port od Spain na Trynidadzie, Fort de France na Martynice, czy też San Juan na Portorico.

Portorico stało w tym czasie przed referendum, w którym ludność miała się wypowiedzieć, czy chce całkowitej niezależności od Stanów, czy też nie. Stany w tym przedreferendalnym czasie potraktowały Portorico jako państwo już niezależne i nałożyły na jego produkty wysokie cło. Na Portorico zapanowało bezrobocie, a plantacje cytrusów, bananów, ananasów i innych roślin zarosły zieliskiem, gdyż nie było zbytu na ich plony. W wyniku tego ogromna większość mieszkańców opowiedziała się przeciw niezależności.

Na Portorico niektórzy członkowie naszej załogi oglądali mecz bokserski pomiędzy sternikiem „Piłsudskiego” Sułowskim a jakimś amerykańskim marynarzem .

Sułowski wracał z miasta, a ponieważ było gorąco, zdjął marynarkę, przerzucił ją przez ramię i przytrzymując ją za wieszak, szedł bez pośpiechu. Był już przy statku, gdy zza stojącego obok okrętu wojennego Marynarki Amerykańskiej wyskoczyła gromada marynarzy i biegła w stronę miasta. Jeden z nich niechcący potrafił Sułowskiego.

„Uważaj!” – powiedział Sułowski. Marynarz zatrzymał się.

„Co powiedziałeś?”

„Powiedziałem, żebyś uważał!”

Marynarz podszedł do niego, zawinął rękawy bluzy i był gotów do walki. Inni marynarze też się zatrzymali i otoczyli ich kołem. Sułowski bez pośpiechu oddał marynarkę jednemu z nich, zawinął rękawy koszuli i stanął przed przeciwnikiem.

„Gotów?” – zapytał Sułowski.

„Gotów!” – odpowiedział marynarz.

Marynarz zamachnął się. Celował w szczękę, ale chybił. Sułowski też się zamachnął, też celował w szczękę - tyle, że nie chybił. Przeciwnik upadł na ziemię nieprzytomny. Jego koledzy przyjęli to rzęsiстыми oklaskami.

Jeden z marynarzy zaczął odliczać. Doliczył do czterech, kiedy leżący usiadł, uśmiechnął się, obmacał szczękę, podniósł się powoli i powiedział:

„No drugie - nie mam urazy”

Następnie wyciągnął rękę do Sułowskiego.

Przeciwnicy uściśli sobie dłonie, znów rozległy się oklaski. Sułowski odebrał swoją marynarkę, wszedł na statek, a amerykańscy marynarze pobiegli w stronę miasta.

Inne wydarzenie, które i ja oglądałem, było mniej sportowe. Portorikańczycy obchodzili jakąś rocznicę zwycięstwa Hiszpanów nad Holendrami. Na obszer- nym placu przed fortecą ustawiono ławy dla widzów. Pierwszy rząd przeznaczono dla zaproszonych na tę okazję oficerów ze stojących w porcie statków. W porcie stały statki wycieczkowe różnych bander, między innymi był także statek holenderski.

Z miejsca, w którym siedzieliśmy był widok na morze, na którym pojawiły się żaglowce. Sprawnie przybiły do brzegu i wyszła z nich piechota, a potem wyprawiono duże, siwe woły, ciągnące armatę.

Na lądzie sformowano dość długą kolumnę, która ruszyła w stronę fortecy, gdzie byli Hiszpanie. Niedaleko fortecy ustawiono namiot dla dowództwa. Zaraz artyleria włączyła się do akcji, zasypując teren przed fortecą dużą ilością niewielkich czarnych kul, toczących się później po murawie.

Po pewnym czasie pojedynk artyleryjski ustał. Piechota otrzymała po kubku jakiegoś płynu, prawdopodobnie alkoholu i ruszyła do ataku. Gdy była już blisko fortecy, Hiszpanie skierowali na nią gęsty ogień swoich strzelb. Wśród atakujących trupy padały gęsto.

Prawie tuż przed murami fortecy dowódca piechoty dał sygnał do odwrotu, który odbył się bardzo szybko. Mimo tego, nawet w czasie odwrotu kilku uciekających zostało zabitych. Gdy ci, którzy ocalili, znaleźli się przy namiocie dowództwa, nieboszczycy podnieśli się i bez pośpiechu dołączyli do nich.

Po tym niepowodzeniu jeden z oficerów holenderskich podszedł z białą flagą pod mury fortecy i zaproponował Hiszpanom, aby wyznaczili najlepszego szermierza. Holendrzy też wyznaczą swego i niech ich walka zadecyduje, do kogo należeć będzie zwycięstwo.

Po chwili z fortecy wyszedł Hiszpan, Holendrzy też wysłali swojego szermierza i obaj spotkali się w połowie odległości między namiotem dowództwa holenderskiego a fortecą.

Rozpoczął się pojedynek. Obaj przeciwnicy wykazali dużą biegłość w sztuce szermierczej. Po pewnym czasie przewaga Hiszpana stała się widoczna, w końcu jego przeciwnik został pokonany. Wtedy z fortecy wypadli Hiszpanie i pobiegli w kierunku Holendrów. Ci zaś zostawili swój namiot, woły i armaty i ratowali się ucieczką. Tego było już za dużo dla kapitana holenderskiego statku. Wraz ze swoimi oficerami ostentacyjnie opuścił plac, mimo, iż widowisko jeszcze się nie skończyło.

Po przybyciu do Fort de France na Martynice, gdy zszedłem na ląd, wydało mi się, że ziemia pode mną się porusza. Ponieważ na morzu był sztorm i statek kołysał się dosyć mocno, przypuszczałem, że moje nogi zachowują się nadal tak, jakbym był jeszcze na pokładzie. Gdy wraz z lekarzem portowym, który pokazywał mi miasto, weszliśmy do kawiarenki, nagle stojące tu i tam kieliszki i szklanki zabrzęczały dosyć mocno. Zapytałem, co to znaczy.

„Ach, to nic takiego. Krater tutejszego wulkanu Mont-Pele jest wypełniony płynną lawą. Od czasu do czasu wydobywające się z głębi ziemi gazy powodują falowanie lawy, która uderza o ścianę krateru. W ten sposób powstaje wstrząs ziemi wokół wulkanu” – wyjaśnił mój towarzysz. Zapytałem, czy wulkan daje o sobie znać również w sposób mniej przyjemny.

„Ostatnio nie, ale trzydzieści parę lat temu lawa zalała miasteczko Saint Pierre. Zginęli wtedy wszyscy jego mieszkańcy z wyjątkiem jednego, który skazany był na dożywocie i siedział w celi, do której lawa już nie dotarła”.

Wieczorem niebo i przepływające po nim chmury na dużej przestrzeni zabarwione były na kolor czerwony. Niektórzy pasażerowie uważali, że to piękny widok, inni, że groźny. Byli nawet tacy, którzy chcieliby opuścić wyspę natychmiast i pytali, dlaczego statek jeszcze nie odpływa, skoro wyznaczona godzina już minęła.

Opóźnienie to spowodowane było tym, że kotwica zaczepiła o coś i nie można jej było podnieść. Manewrowanie statkiem nic nie pomogło i w końcu trzeba było kotwicę odciąć.

Do Port of Spain dojazd był niewygodny, gdyż trzeba było zatrzymywać się daleko w morzu i dopływać do brzegu motorówkami, omijając mielizny.

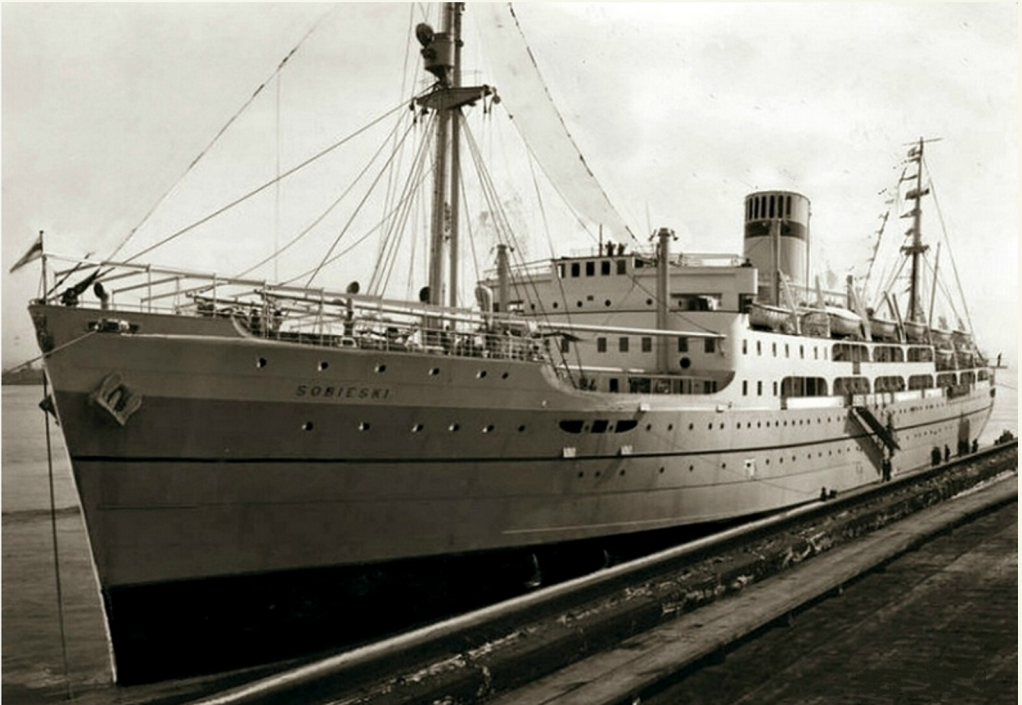
Parę ich wystawało nad poziom wody, tworząc niewielkie wysepki, na których wysiadywały pelikany. Mimo tej niedogodności zawijało tam sporo statków wycieczkowych, zwłaszcza w okresie, kiedy odbywały się przygotowania do kolorowej parady karnawałowej oraz na sama paradę.

Atrakcją Trynidadu jest asfaltowe jezioro, odległe około 60 mil od Port of Spain. Droga do niego, prowadząca wśród bujnej roślinności tropikalnej, jest bardzo malownicza, natomiast oglądanie samego jeziora sprawia zawód, gdyż jest to około czterdziestu hektarów martwej przestrzeni, przypominającej wyglądem torfowisko.

Atrakcją Port of Spain jest ogród botaniczny. Miejscowy przewodnik pokazał nam drzewo, które nie jest atakowane przez żadne pasożyty, ponieważ na najmniejsze nawet skaleczenie reaguje ono wytworzeniem gazu, który zabija jego sprawcę. Na drzewie tym pasożytów istotnie nie widziałem. Drzewo hebanowe natomiast można było nie tylko widzieć, ale i słyszeć! Jego liście uginały się pod ciężarem uwijających się po nich mrówek, powodujących słyszalny szelest. Podobno dzieje się tak dlatego, że na liściach hebanu rozwija się pasożyt, będący przysmakiem mrówek. Liście te były ciemnozielone, ale prawie wszystkie były mniej lub bardziej pozwijane, co świadczyło, że coś im dolega. Można tam również było zobaczyć drzewo cypryśnikowe, kalabasy o owocach podobnych do dyni, dzikie pomarańcze o niejadalnych, małych, kwaśnych owocach, podobną do wyki wanilię i wiele innych drzew, krzewów i kwiatów.

W Fort de France, leżącym na niedalekiej Martynice, z nastaniem wieczoru zapalały się liczne światła, ulice były zatłoczone, a kawiarenki i bary pełne.

W Port of Spain natomiast wieczorami pustoszały słabo oświetlone lub zupełnie ciemne ulice, na których tylko od czasu do czasu widziało się jakiegoś przechodnia. Jeżeli był nim osobnik czarny, odnosiło się dziwne wrażenie, że idzie samo ubranie, gdyż z reguły było ono jaśniejsze od twarzy jej właściciela.



m/s "Sobieski", na którym autor pływał w 1946 roku

Ponownie znalazłem się w Port of Spain w 1946 roku (musiało to być we wrześniu, w ostatnim rejsie „Sobieskiego” w czarterze brytyjskiego Ministry of Shipping - przyp.red.) i zastałem tam duże zmiany. Miasto rozbudowało się, przybyło sporo barów i kawiarni, a wieczorem ulice były jasno oświetlone. Jednak ludzi było na nich mało, a w lokalach tylko nieliczni klienci. Atmosfera w mieście panowała raczej senna, a także i w dzień nie widać było żadnego pośpiechu.

„Sobieski”, na którym wtedy pracowałem, został zacumowany przy nabrzeżu, na którym wyrosły magazyny. Obok „Sobieskiego” zacumowany był niewielki statek towarowy, na który ładowano banany. Nie można jednak powiedzieć, aby załadunek odbywał się szybko.

Niedaleko statku leżało na ziemi kilkadziesiąt osób płci obojga, nic sobie jak gdyby nie robiąc z palących promieni słońca. Możliwe, że gdyby w pobliżu był jakiś cień, może by się w nim skryli, ale cienia nie było.

Gdy przyjeżdżała ciężarówka z bananami, spośród leżących podnosiło się kilka osób, które szły do samochodu, brały po kiści bananów, kładły je sobie na głowę i niosły je na statek.

U wejścia na statek dostawali tokena. Jedną kładką wchodzili na statek, oddawali banany, po czym drugą kładką schodzili. Po rozładowaniu ciężarówki znów kładli się na ziemi.

Czasami druga ciężarówka przyjeżdżała jeszcze przed rozładowaniem poprzedniej, wtedy musiała czekać. Dopiero po dłuższej przerwie rozładowywana była tak samo, jak poprzednia.

Duży ruch panował w Port od Spain (w czasie wojny), gdy była tam jeszcze baza amerykańskiej marynarki wojennej. Z odpłynięciem marynarzy jednak ruch bardzo zmalał. Pozostały tylko wysokie ceny na niektóre produkty, jak na przykład banany. Przed wojną kiść kosztowała 25 centów, a teraz dwa dolary. Pozostał również port, który na pewno przyczyni się do rozwoju wyspy.

Saint Thomas jest małą wysepką w grupie Wysp Dziewiczych. Ze względu na łagodny klimat i piękne widoki odwiedza ją sporo statków wycieczkowych. Małe domki, rozrzucone na łagodnych zboczach gór, wyglądają malowniczo, mają jednak te niewygodę, że trzeba do nich dojść po schodach, w niektórych wypadkach nawet dosyć długich.

W jednym z takich domków mieszkała Polka, pani De Lugo, która odwiedziła nasz statek. Od niej dowiedzieliśmy się, że przed paru tygodniami był tam „Dar Pomorza”, który również odwiedziła.

W następstwie tej wizyty otrzymała od członków załogi „Daru Pomorza” kartę z pozdrowieniami, zaadresowaną bardzo oryginalnie: „Saint Thomas, Wyspy Dziewicze, miła pani mieszkająca w domu, do którego schody mają 29 stopni”.

Nie przypuszczam, aby listonosz zadał sobie trud liczenia stopni, po prostu wiedział, że pani de Lugo to jedyna Polka i jeżeli karta jest napisana po polsku, na pewno jest przeznaczona dla niej.

Curacao to niewielka wysepka holenderska, leżąca w pobliżu Wenezueli. Główną jej atrakcją jest strefa wolnocłowa. W tym okresie obywatelom amerykańskim wolno było bez cła przywieźć towary, zakupione za sumę nie przekraczającą 100 dolarów.

Niektórzy pasażerowie jechali na wycieczkę wyłącznie po to, by zrobić zakupy w strefie wolnocłowej. Największym popytem cieszyły się w niej francuskie perfumy i japońskie jedwabie.

Sklep niejakiego Rubinka, który twierdził, że pochodzi z Radomia, był licznie odwiedzany przez załogę naszego statku, bo to i porozmawiać po polsku można było - i potargować się trochę. Nasi kupowali przeważnie japońskie jedwabie, które istotnie były bardzo tanie.

La Guaira to jeden z większych portów Wenezueli. W starej części miasta jest parę dziwnych uliczek: wąskich, zabudowanych małymi, ściśle przylegającymi



do siebie domkami bez okien od strony ulicy. Idąc taką uliczką ma się wrażenie, że jest się w jakimś korytarzu, po obu stronach którego w różnych odstępach znajdują się zamknięte drzwi.

Wraz z intendentem, starszym oficerem i starszym mechanikiem wybraliśmy się na wycieczkę do Caracas, stolicy kraju, odległej w prostej linii o 13 kilometrów. Jechaliśmy świeżo oddaną do użytku drogą, o której mówiono, że jest godnym podziwu osiągnięciem drogowców. Jechać jednak trzeba było ostrożnie. Dla przypomnienia kierowcom o konieczności ostrożnej jazdy, ustawiono w jednym miejscu przy drodze na dosyć wysokim cokole kompletnie rozbity samochód. Jego kierowca nie był dość ostrożny i zleciał z nim z dużej wysokości.

Podróż w jedną stronę zajęła nam prawie dwie godziny. Mimo, że nie jechaliśmy szybko, nabierało się sporo kilometrów.

Caracas był wówczas niewielką miejsciną, zabudowaną przeważnie partelowymi lub jednopiętrowymi domami. Z obiektów godnych zwiedzenia był domek Bolívara, który obejrzelśmy zarówno z zewnątrz jak i od wewnątrz. Poza tym pałac Miraflores, obecnie rezydencja prezydenta Republiki, kościół świętego Franciszka, katedra i Capitol, na które popatrzyliśmy z zewnątrz.

Przeszliśmy także aleją drzew kauczukowych. Nie zajęło nam to jednak dużo czasu i zaczęliśmy się rozglądać za jakimś przyzwoitym lokalem, w którym można by zjeść obiad.

Przed wyjazdem z La Guira jedna z pasażerek, która była już w Caracas, radziła nam wziąć ze sobą kanapki, jeśli nie chcemy chodzić głodni. Nie bardzo jej dowierzaliśmy, ale ponieważ ochmistrz przygotował nam wałówkę, wzięliśmy ją ze sobą. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że w hotelu Madryt jest restauracja z bardzo dobrą kuchnią, kanapki oddaliśmy taksówkarzowi i udaliśmy się do hotelu.

Sala restauracyjna była duża, obrusy na stołach i ubranie kelnerów czyste, dość liczni elegancko ubrani goście siedzący przy stolikach.

Prawdzie odpowiadałoby określenie restauracji jako bardzo eleganckiej, byliśmy więc pewni, że renoma hotelowej kuchni też będzie w pełni uzasadniona.

Przypuszczaliśmy, że zachęcająca nas do wzięcia wałóWKi pani po prostu nie wiedziała o istnieniu hotelu Madryt. Zamówiliśmy nieznaną nam z nazwy zupę, jakiej jeszcze nigdy nie jedliśmy. Pływały w niej ziarnka kukurydzy, fasoli, jakieś owoce, kluseczki, przyprawy. Była dość słona, ostra, niespecjalnie smaczna, ale ogólnie dość dobra.

Drugiego jednak nie mieliśmy odwagi nawet spróbować, gdyż mięso wyraźnie wydzielало nieprzyjemny zapach. Kelner powiedział nam, że w kuchni mają klatkę z kurczakami i basen z rybami, mogą nam więc przyrządzić albo jedno, albo drugie, lecz zrezygnowaliśmy z tego. Napiliśmy się tylko kompotu i kawy i, wciąż głodni, wyszliśmy z restauracji. Taksówkarz przywitał nas oświadczeniem, że tak dobrych kanapek jeszcze nigdy nie jadł.

Obok hotelu stała chyba półtorametrowej wysokości tablica, na której namalowana była postać ludzka, mająca kilkadziesiąt punktów oznaczonych numerami. Była to swojego rodzaju poradnia lekarska. Chory odnajdywał na tej postaci punkt, w którym odczuwał dolegliwości, odczytywał umieszczony przy nim numer i wykupywał w aptece oznaczone tym numerem lekarstwo.

Po wojnie nie byłem już więcej w Caracas, jednak w telewizji widziałem, że stoi tam wiele wieżowców, a nowa autostrada z La Guaira do Caracas ma tylko 17 kilometrów długości, a koszt budowy jednego kilometra tej drogi był najwyższy na świecie.

W Cartagena byliśmy tylko jeden raz, jednak dla mnie było to miasto najciekawsze. Już z daleka widziało się mury potężnej twierdzy, za którymi sterczały liczne wieże i kopuły kościołów i pałaców. Po zejściu na ląd odnosiło się wrażenie, że jest to zachowane miasto z dalekiej przeszłości. Ulice czyste, chodniki z płyt kamiennych, domy przystrojone balkonami, niszami, kolumnkami, figurkami postaci mitologicznych, wodotryskami.

Całość sprawiała wrażenie, że ludzie żyli tutaj dostatnio, dużo czasu i starań poświęcając pięknu. Licznie odwiedzana sala tortur Świętej Inkwizycji z wymyślnymi narzędziami tortur świadczyła wymownie, że życie nie zawsze było tutaj łatwe. Że i tutaj sprawowali władzę głupcy, których rządy zawsze są połączone z uciskiem i mordami.

W każdym porcie, do którego przybywaliśmy po raz pierwszy, tamtejsi lekarze portowi zrazu odnosili się do mnie w sposób uprzejmy, acz formalny. Bliższe kontakty towarzyskie nawiązywały się stopniowo, dopiero za drugim lub trzecim razem. Wyjątkiem był dr Akeksajtis z Colon w strefie Kanału Panamskiego. Gdy przyszedł na statek, przwitał się ze mną jak ze starym znajomym. Zapytał, jak mi się pracuje na statku i jak się żyje w Polsce.

Potem opowiadał mi o swojej pracy w strefie Kanału, o swoim wyjeździe z Litwy. Zaprosił mnie do siebie dodając, że także jego żonie będzie przyjemnie porozmawiać z kimś z „naszych stron”.

Byłem u nich na obiedzie, podejmowali mnie bardzo gościnnie, a po obiedzie doktor oświadczył, że chciałby pokazać mi osobliwości strefy i zaproponował żonie i 7-letniej córeczce, aby nam towarzyszyły. Zgodziły się i pojechaliśmy wszyscy do Stacji Ornitologicznej na jeziorze Gatun, z której pracownikami Aleksajtisowie się przyjaźnili. Umożliwiono nam tam przejażdżkę po jeziorze motorówką o napędzie elektrycznym. Poruszała się ona wprawdzie powoli, ale za to cichutko, a przez szybę w podłodze można było obserwować, co dzieje się w wodzie pod nami.

W czasie budowy kanału spiętrzone wody jeziora Gatun, które powiększyło się i zalało spory obszar tropikalnej dżungli. Zalane wodą drzewa uschły, niektóre

już się rozpadły, inne jeszcze sterczały w wodzie i pokryły się różnego rodzaju długimi, wiotkimi, pnącymi się do powierzchni wody wodorostami, co wyglądało tak, jakby na drzewach wyrosły długie włosy i zostały zaczesane „na jeża”. Pomiędzy konarami i wodorostami przesuwały się różne gatunki ryb oraz różnej wielkości i różnego kształtu nieznanne mi żyjątka morskie.

Za moich młodych czasów słowo „Panama” było często używane na określenie wielkich afer. Powstało ono podczas pierwszej próby budowy Kanału Panamskiego, kiedy to na skutek nieuczciwych machinacji wiele osób utraciło wielkie sumy. Ślady tej pierwszej budowy można było jeszcze oglądać. Był to niewielki rów, a obok niego zżarte przez rdzę resztki porzuconych narzędzi.

Gdy jechałem do Colon następnym razem, wiedziałem, że spotkam tam przyjaciół, mimo iż stosunki między Polską a Litwą wcale nie były wtedy dobre.



© Rodzina Wincenta Natkańskiego